

Anda Rottenberg

PROSZĘ BARDZO



Anda Rottenberg

(ur. 1944 w Nowosybirsku) – historyk i krytyk sztuki, kurator wystaw. Przez wiele lat kierowała warszawską Zachętą. Współzałożycielka niezależnej fundacji Egit (1986), fundacji Instytut Promocji Sztuki (1998) i Ośrodka Sztuki Współczesnej Fundacji Batorego (1992). Organizowała liczne wystawy promujące polską sztukę w kraju i za granicą (w tym na biennale w Wenecji i São Paulo), a także wystawy problemowe od Niemiec i Rosji po USA i Koreę Południową. Jej teksty krytyczne o sztuce publikowane były w kilkunastu językach, zebrane w jednym tomie ukażą się w Polsce w 2009 roku pod tytułem *Przeciąg*. Współautorka scenariusza filmu fabularnego *Bluszcz* (reż. Hanka Włodarczyk) oraz autorka kompendium wiedzy o polskiej sztuce powojennej, *Sztuka w Polsce 1945–2005* (2005; wydanie angielskie 2009). Stale współpracuje z prasą kulturalną, radiem i telewizją.



PROSZĘ BARDZO



Anda Rottenberg

PROSZE BARDZO

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2009
Wydanie I
Warszawa 2009

(Tym, których nie ma)

2007

KWIECIEŃ

Depresja

Prawy nadgarstek w gipsie akurat na Wielkanoc zaplanowaną terapeutycznie daleko od domu, nad zimnym Bałtykiem. Złamanie jest dobre na depresję. Nieoczekiwana leworęczność przemieszcza uwagę z pełnego motyli żołądka na teren zadań elementarnych, takich jak mycie, wkładanie spodni, zapinanie guzików, zasuwanie zamków błyskawicznych i wiązanie sznurowadeł. Ta chwilowa niepełnosprawność wyklucza mnie również z praktycznego życia, z tradycyjnej wielkanocnej krzątanimy, i sprzyja nabieraniu przedświątecznej dobroci. Pamiętam, jak Andrzej O. pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy się jeszcze kolegowaliśmy, powtarzał, że lubi, kiedy tak dobrze mówię o ludziach. – Jak to się dzieje, że tak dobrze mówisz o ludziach? – Przez dziesiątki lat brałam ich takimi, jakimi są. Z wadami i śmiesznościami. A teraz nie umiem wyłowić z pamięci tego dnia, kiedy straciłam tę pobłażliwość. Tę wspaniałomyślność. Tę tolerancję. Po pierwszym seansie nienawiści? Podczas pierwszej leczonej depresji? Po pierwszym aresztowaniu mego syna, kiedy nie było nikogo, kto chciałby mi pomóc? Obudowana tabletkami, zdrętwiała od znieczulenia, tkwiłam już wówczas w kokonie niepełnej obecności. Poranna pastylka szczęścia, żeby przeżyć dzień. Żeby sprostać dyrektorskim zadaniom. Stać na podium i zapowiadać kolejne wystawy, a przedtem je planować i realizować, zabiegać

o przychylność korowodu ministrów, o pieniądze od sponsorów, o życzliwość artystów, krytyków i personelu. – Bierze pani środki, które dają moim pacjentom w szpitalu. Oni leżą w łózkach, a pani cały czas pracuje! – mówiła Grażyna M., moja lekarka pierwszego kontaktu. Bo jeśli nie praca – to co? Należało trzymać pion; z pozycji poziomej można się nie podnieść po krótkim liście: „Mamo, wiem, że po tym, co zrobiłem, nie zechcesz mnie już więcej widzieć”, który zastałam na stole po tym, jak mój syn wszedł przez balkon na ósmym piętrze, a wyszedł drzwiami, zostawiając na półce akurratnie rozkręcony zamek. Tyle razy wychodził, myślałam, a potem dzwonił albo pojawiał się nagle z prośbą o pomoc. Czy uznał, że go wysłę do więzienia na odwyk? Że go zakapuję? Nie była to przecież jego pierwsza kradzież, nie debiutował w wynoszeniu z domu przedmiotów zamienianych na spłatę podchodzących do gardła długów albo po prostu na towar. Może chodziło o to, że nieobecność tamtych innych rzeczy – cenniejszych książek, artystycznych wydawnictw, tenisowej rakiety, kamery, aparatu fotograficznego, wiecznych piór czy paru banknotów – nie rzucała się natychmiast w oczy, nie była tak demonstracyjna, jak nieobecność telewizora? Może w grę wchodził wstyd, resztki wstydu, wywołane trudnym do uchwycenia rozróżnieniem między cichym „wzięciem” a spektakularnym włamaniem do domu własnej matki?

Musiał wiedzieć, że spróbuję zrozumieć tę determinację, ale że jej nie zaakceptuję. Nie ze względu na wartość przedmiotów, straciłam ich w życiu wiele, nie miały dla mnie znaczenia, ale z uwagi na jego własną, ludzką wartość. Był bardzo inteligentny, mógł przewidywać, że już nie będę go namawiać do nieludzkiego wysiłku wydobywania się z uzależnienia, do kolejnego przejścia przez wszystkie, znane nam obydwojemu, bolesne stadia oczyszczania organizmu, a potem do trwającej całe życie, męczącej abstynencji. Mógł pomyśleć, że wiem już to, co sam wiedział: że brak mu siły. Już nie wierzył w wyleczenie, w to, że naprawdę przestanie zatruwać swoje serce, swój mózg,

swój talent, swoje człowieczeństwo, może trochę zanadto rozwinięte, zbyt silnie odczuwane od samego dzieciństwa. Zaistniało bardzo wiele przesłanek, by pomyślał, że nie zapamiętałam tego, co mi kiedyś, dużo wcześniej, powiedział na temat syna marnotrawnego, jego ulubionej biblijnej przypowieści i ulubionego obrazu Rembrandta. Wracał do tego motywu kilkakrotnie, zapewne z nadzieją na podobnie szczęśliwy finał, a potem uznał, że to wyrzuciłam z pamięci. Ale ja to pamiętałam. Dlatego przez następne miesiące i lata nie dopuszczałam myśli o ostatecznej możliwości, także wówczas, gdy czująca aurę kobieta dotknęła zdjęcia i powiedziała twardo: – On jest zimny. – Korzystałam z magicznych metod, które kiedy indziej kwitowałam pukaniem się w czoło. A przecież byłam niemal pewna, że nie będzie go można zaliczyć do statystycznego promila wyleczonych przypadków; że jeśli po roku przerwy w braniu nie potrafił wejść w życie rodzinne z dziewczyną i dzieckiem, których potrzebował, to może także nie będzie umiał walczyć o elementarną egzystencję nastawioną już tylko na zdobywanie towaru, a więc, że czeka go to, co przewiduje tragicznie banalny scenariusz życia narkomana. Tragicznie banalny. Bez względu na wszystkie starania. Bez względu na wysokie IQ i rozbudowaną osobowość, odczytanie i wrażliwość na formę. Na subtelność uczuć. Albo właśnie ze względu na to wszystko.

Wiedziałam „na rozum”, na podstawie statystyk, lektur, rachunku prawdopodobieństwa – wiedziałam. Ale nie wierzyłam. Pamiętałam nasze rozmowy o synu marnotrawnym. Posłusznie oglądałam zdjęcia podsuwane przez policjantów na ulicy Wilczej i za każdym razem z ulgą stwierdzałam, że nie. Nie, nie, to nie on. – Proszę mi pobrać krew i zbadać kod genetyczny. Proszę zadzwonić, kiedy będziecie mieli pewność, że to mój syn. – A teraz, po dziesięciu latach letargu, jakiejś niemożliwej do wyjaśnienia hibernacji mózgu, nagle zapragnęłam dowodów. Zapragnęłam zakończyć ten rozdział, zamknąć go wreszcie, jak zamykam życie ojca, życie mamy, życie mojej nieznannej rodziny z obu tajemniczych linii. Żeby tylko pastylki szczęścia nie

znieczuliły mnie znowu na empatię. Żeby odzyskać trochę dobroci, której źle lokowany nadmiar stał się przyczyną tylu nieszczęść. (Tak mi się wydaje, że można tu mówić o źle lokowanym nadmiarze i braku umiejętności; właściwie o niezdolności.) Żeby wysilić pamięć własnego dzieciństwa, która pomoże mi zrozumieć, dlaczego zrobiłam swemu dziecku to wszystko, co się określa mianem toksycznego wychowania.



Bezradność

Ledwie zaczynam, a już wpadam w bezradność. Nie umiem robić wypisów z pamięci. Nie potrafię artykułować przeszłości: odtwarzać faktów, rekonstruować myśli, opowiadać o uczuciach. Rozlewne opowiadanie domaga się fikcji. Narracja wymaga wartkiej akcji, barwnego opisu, celnej charakterystyki i żywego dialogu; setki stron mijania się z prawdą, bo prawda popsuje formę i złamie zasadę budowy utworu. Prawda jest bezforemna, a przez to niewygodna, nie daje się wtłoczyć w rytm frazy, nie wpisuje się w ramy kompozycji inaczej niż jako fikcja. A co z tym banałem codzienności, co z ciągiem nieudanych przyjaźni i romansów, gdzie podziąć niespełnione marzenia i nudne wieczory, jak się przyznać do żalonych klęsk zawodowych, finansowych i rodzinnych? Nie każde życie warte jest romansu, chyba że potrafi się je trochę ubarwić. Ale ja nie potrafię zmyślać. Setki stron poświęconych sztuce były próbą opisywania fenomenu innej rzeczywistości. Poniekąd realnej, choć przecież prawda sztuki też jest fikcją, czyta się ją jak książkę i komentuje jak książkę. Z prawdą życia jest inaczej. Miliony chwil, najczęściej błahych dla innych i po latach także dla nas samych, zdarzeń podobnych do siebie i z sobą nieporównywalnych – zapada w niepamięć, ponieważ nie otrzymały właściwej formy. „Życie jest formą istnienia białka, ale w kominie coś czasem załka”. Istnienie białka jest nieciekawe tak długo, jak długo

nie towarzyszy mu łkanie w kominie. To ono budzi zaciekawienie, nie fakt czyichś narodzin i śmierci. Chyba że faktom tym towarzyszą wyjątkowe, warte odnotowania okoliczności – i to one są przedmiotem narracji. Czy jednak wystarczy się urodzić w dziwnej sytuacji, by zaciekawić kronikarza? Nawet tego warunku nie spełniam.

Urodziłam się w sposób banalny, typowy dla mojego pokolenia, nieobarczonego pamięcią wojny, ale wojną naznaczonego przez generację rodziców i nauczycieli – tych wszystkich okaleczonych dorosłych, którzy bardzo nie chcieli, byśmy doświadczyli tego samego, czego oni doświadczyć musieli, a ponieważ teraz już wiedzieli więcej, robili wszystko, by nas przed tym strasznym doświadczeniem uchronić. Z tego punktu widzenia całe moje życie jest przypadkiem typowym. Jak opowiedzieć o tej typowości? O typowych szkołach i typowych nauczycielach, typowych ubraniach i typowych produktach masowego żywienia. O tańcach i piosenkach śpiewanych od Bałtyku do Tatr. O wydarzeniach powoli ruszających z posad typowy światopogląd. I jak wyłuskać z tej typowości pojedyncze istnienie, *pars pro toto* pierwszego pokolenia w całej historii nowożytnej Europy, które nie zaznało prawdziwej wojny, ale wyrosło w jej mrocznym cieniu i jakoś nie umie z tego cienia wyjść na światło? Pokolenia, na którym eksperymentowano marszowy krok do przodu, bez oglądania się wstecz, na rodzinne korzenie i groby, i które dopiero po śmierci swoich bliskich rusza w przeszłość, by spełnić zaległy obowiązek, choć niewiele już pozostało do uratowania, bo korzenie obumierają, a groby milczą. Pozostaje odrobina świadectw i pamięć – dziś już własna, ale przejęta z drugiej ręki, od tych, którzy pamiętali lepiej i dokładniej, nie mówili jednak wszystkiego albo mówili chaotycznie, albo ich nie słuchaliśmy.

To tylko jedna strona. Drugą jest ustawicznie doznawana osobność, inność niepozwalająca na identyfikację ani z grupą rówieśniczą, ani polityczną, ani wyznaniową, ani – wreszcie – narodową. Przynajmniej nie w pełni i nie do końca, co może wzbogaca, ale też

doskwiera i ostatecznie kształtuje niespójną, rozchwianą osobowość, determinuje życiorys. Jeśli więc używam pojęcia *pars pro toto*, to niezupełnie w odniesieniu do całego pokolenia, raczej do tej jego drobnej części, która mogłaby nawet umknąć uwadze, gdyby nie to, że została za swoją inność napiętnowana, a zatem przeeksponowana, wystawiona przed szereg jako obiekt służący kanalizowaniu społecznych czy może grupowych frustracji, poddana odwiecznej, plemiennej ceremonii, mającej służyć zbiorowemu oczyszczeniu, *katharsis*.

Wydaje się, że roztopienie najzupełniej osobistego losu w tym ogólniejszym, niegdyś już rozpoznany jako doświadczenie „pokolenia bez życiorysu”, może być warte namysłu. Powinam tylko to wszystko jakoś uporządkować czy raczej znaleźć sposób na znakowanie pojedynczych drobinek składających się na strukturę całości – tak jak w chemicznym roztworze oznacza się skrobię. Na przykład. Wiadomo wtedy przynajmniej, czy ma się do czynienia z krochmalem.

Negatywy przechowujemy

Pytają, czym się teraz zajmuję, jeśli nie mam posady. – Co pani teraz robi?

Rzucam palenie. Szukam rodziny. Jedno drugiemu nie pomaga. Przy szukaniu bardziej chce się palić. Po nikotynowych plastrach pozostają na skórze kwadraty z alergicznym odczynem. Są pokryte czerwonymi bąblami i swędzą. Palenie rzucam od trzech miesięcy. Każdego miesiąca przybywa mi jeden kilogram. Zaczynam pękać w szwach. Również z braku stresu i adrenaliny, na której jechałam przez całe lata. Rodziny szukam od odejścia z muzeum, które wreszcie zaistniało, przynajmniej na papierze. Nie muszę już o nie walczyć z zastępami urzędników, i po ćwierćwieczu zmagania nie chce mi się już go budować. Z dnia na dzień przestawiłam dźwignię, przekierowałam pociąg na inne tory, odjeżdżam w przeszłość, szukam w pamięci, szukam w dokumentach, gmeram w fotografiach, gromadzę fakty i dowody, zajmuję się typową dla mojego zawodu pracą badawczą – robię coś, czego nie lubiłam jako starszy asystent w Instytucie Sztuki PAN, coś, co mnie śmiertelnie nużyło i było powodem odejścia z pracy na chwilę przed obroną doktoratu, już niemal gotowego. Pozostały elementarne umiejętności, które dzisiaj nieco pomagają w docieraniu do pojedynczych wątków, w kojarzeniu faktów i rekonstruowaniu obrazu jeszcze dalekiego od doskonałości, ale przecież

coraz bardziej wyraźnego, wyłaniającego się z nieistnienia, z próżni, jaka wypełniała moją głowę i moje serce w miejscu przeznaczonym na przeszłość moich bliskich.

Nie zaczynam od zera. Mam za sobą wielogodzinne tasowanie starych rosyjskich zdjęć przywiezionych przez mamę po śmierci babki z jej mieszkania w Nowosybirsku. Przez siedemnaście lat leżały w pudełku po butach i nigdy nie nadarzyła się okazja, by nad nimi usiąść, wysłuchać opowieści o tych wszystkich solennie upozowanych osobach, poznać ich imiona i rozsypać łączące ich więzy krwi. Uczyniłam to dopiero podczas pakowania dóbr, kiedy opróżniałam z całego dobytku pozostawione przez mamę mieszkanie w Legnicy. Wujek Jura, brat mojej mamy Lidy, który przyjechał ze swym synem po spadek, domagał się też zwrotu rodzinnych fotografii, bo Lida je zabrała nikogo nie pytając o zgodę, a one przecież należą do niego, bo to on został w Rosji i to właśnie jego rodzina musi znać swoje korzenie. Nie wypomniałam Jurze, że nie wie, gdzie są groby jego matki i siostry, więc nie nadaje się na strażnika pamięci i nie zasługuje na tę jedyną pamiątkę po mojej babce, jeśli nie liczyć samowara, patelni do smażenia konfitur i ciężkiego moździerza z mosiądzu, które mama także przytargała z Nowosybirska. Powiedziałam, że nie wiem o zdjęciach. Skłamałam patrząc mu z uporem w oczy, już po tych wszystkich dniach prawosławnej Wielkanocy, kiedy patrzyliśmy na ustawioną w serwntce urnę z prochami mamy i czekaliśmy w jej legnickim mieszkaniu na miejsce pochówku w Warszawie. Miało się spełnić, co się nie spełniło za jej życia: że trafi w moje pobliże, że wreszcie znajdzie się w moim zasięgu, choć to bliskość umowna, wyznaczona przez nasze ludzkie, plemienne rytuały; bliskość w kategoriach odległości od domu do prawosławnego cmentarza na Woli. Kiedy już skończyły się święta i zawiozłam mamę do Warszawy, żeby spuścić ją do wybetonowanej czeluści przy akompaniamencie staro-cerkiewno-słowiańskich zaśpiewów, kiedy, na powrót w Legnicy, wysłuchiłam tych jego ochów i achów, że go boli serce, że pogrzeb

taki piękny, nie to, co u nich na Syberii, gdzie wszystko na łapu-capu, i że nie warto przekazywać Mateuszowi całego warsztatu, bo on go przecież zmarnuje, jest narkomanem, podczas gdy im w Rosji w sam raz się przyda na okres pierestrojki, i gdzie są te zdjęcia, które się należą – wtedy otworzyłam wreszcie przed nimi porcelanowy interes mamy i pozwoliłam wziąć, co tylko zdołają udźwignąć – i jednocześnie oznajmiłam twardo, że nic nie wiem o zdjęciach. Wtedy przestali się dopytywać, zasiedli w pracowni i pakowali dobytek aż do pory odjazdu pociągu.

A kiedy wreszcie wyjechali, sięgnęłam po pudełko i rozłożyłam zdjęcia. Przebierałam je w rękach, tasowałam jak karty tarota, ze strachem i roztargnieniem. Jeszcze nie umiałam się koncentrować, byłam chora na nagłą śmierć mamy i powtarzający się bez końca obraz jej upadającego ciała (bardziej doznawany niż wyobrażony), na dojmującą obecność obcej rodziny i dojmującą nieobecność bliskich, na zanikanie więzi z Mateuszem oddalającym się w nirwanę opiatów, na załatwianie koniecznych ceremonii, wreszcie na sortowanie tych wszystkich rzeczy, które stopniowo wyprzedawałam, rozdawałam, wyrzucałam. Więc wówczas nie umiałam rozpoznać na tych zdjęciach nikogo prócz tych, których znałam osobiście. A znałam tylko babkę Afanasję i ciocię Zinę. Charakterystyczna twarz ciotki dała się od razu wyłowić na zbiorowym zdjęciu, choć była na nim małą dziewczynką. Pamiętałam też twarz babki i metodą dedukcji odkryłam wygląd dziadka. To wszystko. Na tym wówczas poprzestałam.

Drugie podejście nastąpiło po wielu latach, gdy zaczęłam szukać naprawdę. Wówczas okazało się, że możliwe jest składanie drobniotkich fragmentów w nieco większe elementy, że daje się wyciągnąć z pamięci rozrzucone kawałeczki, dodać do siebie wyjęte z opowieści mamy i zatrzymane w mojej dziecięcej głowie mało istotne szczegóły dopasowując jedne do drugich tak, by zaczęły znaczyć coś więcej, niż dotychczas znaczyły. W ten sposób rosyjska rodzina dała się jakoś ułożyć, nie cała, bez przybudówek, jednak główny trzon zarysował

się całkiem wyraźnie, pozwolił sfabularyzować i odstąpił obszar niedoboru dotyczący dawniejszej przeszłości, tej sprzed wyjazdu na Syberię. Mogę się nigdy o niej nie dowiedzieć, a gdyby nawet to się udało, droga do wiedzy musiałaby prowadzić przez Nowosybirsk i niechciane spotkanie z rodziną, która się odwróciła od własnych grobów. Wiem jednak, że kiedyś będę musiała się zebrać do tej podróży w otchłań carskich archiwów, gdzie mogę odnaleźć dekrety kierujące na Sybir, na osiedlenie, dwie rodziny – jedną przedsiębiorczą, drugą romantyczną, splecione wskutek popełnionego przez swoje dzieci mezaliansu – które ja, ich daleka krewna po kądzieli, kapryśnym zrzędzeniem losu zapragnę ocalić od zapomnienia. Tak się przecież mówi – „ocalić”, czyli wydobyć odrobinę życia z tych anonimowych, upozowanych do zdjęcia postaci.

Pierwsze zdjęcie zostało zrobione około roku 1909 w zakładzie Fotografii Moskiewskiej R. K. Węgra: „Cabinet Portrait. Miasto Nowonikołajewsk. Negatywy przechowujemy”.



Symetryczna kompozycja w wyblakłej sepii. W centrum, za wysokim, ozdobnym stolikiem, stoją chłopcy: ramię przy ramieniu, uczesani na boczek, ubrani w jednakowe jedwabne rubaszki, przepasani szerokimi rzemiennymi pasami. Dziewczyny siedzą na aksamiitnych fotelach z frędzlą. Anna, najstarsza, już wówczas zamężna, prawie całkiem frontalnie zwrócona do obiektywu, w ciemnej sukni zapinanej wysoko pod szyją, z obrączką na palcu. Afanasja, młodsza, w białej ozdobnej bluzce, taftowej spódnicy z falbanami i bucikach zapinanych na malutkie guziczki, siedzi w półobrocie, jakby na chwilę przerwała konwersację z siostrą.

Fotografia czwórki rodzeństwa Bielogłazowów może wcale nie być najstarsza. Mogła ją poprzedzać ta z zakładu P. J. Owczyna, z ulicy Dworcowej, przedstawiająca tylko jednego z dwóch chłopców, tego wyższego, i Afanasję. Tym razem to chłopiec siedzi, także w rubaszce, ale i w futrzanej czapce, jakby ją zapomniał zdjąć u fotografa, a dziewczynka stoi w skromnej sukieneczce, ledwo sięgającej cholewek



wysokich bucików, z prawą ręką opartą o ramię brata i bukietem kwiatów w lewej. Może mieć czternaście lat. Albo niewiele więcej.

Fotografia trzecia przedstawia ich oboje w towarzystwie postronnego przystojniaka. Brat – jak to się stało, że nie poznałam jego imienia? – już odmieniony, całkiem dorosły, w eleganckim jasnym palcie z aksamitnymi wyłogami, białej koszuli i furażerze siedzi w centrum kadru. Afanasja w obcisłym palcie i szalu na głowie stoi za jakąś barierką. Na palcu błyszczą obrączka. Może być rok 1912, dwa lata po ślubie i po utracie pierwszego dziecka, a przed urodzeniem drugiego.

Afanasja Biełogłazow, moja babka, na wszystkich zdjęciach ma taką samą fryzurę i taki sam wyraz twarzy. Patrzy z uporem wprost w obiektyw, bez kokieterii, bez uśmiechu, z osobliwą powagą, nie licującą z jej młodym wiekiem. Ten sam wyraz zachowała nawet na pamiątkowej fotografii ze swym mężem Kiryłem Szerszniowem i moją małą mamą, a także na grupowym zdjęciu rodzinnym, na

